

PODRÓŻ NA KSIĘŻYC

Dramat w dwóch odsłonach

OSOBY:

LUDWIK LUMIÈRE (lat około 70)

GEORGES MÉLIÈS (lat około 70)

GŁOS Z MEGAFONU

TAJEMNICZY MŁODZIEŃC

Akcja dramatu rozgrywa się na początku lat trzydziestych dwudziestego wieku.

ODSŁONA I

Scena przedstawia sklepik z zabawkami na jednym z paryskich dworców. Za kontuarem krząta się brodaty staruszek w kapeluszu i płaszczu. Odkurza zabawki. W pewnej chwili zdejmuje z półki trzy baletnice-pozytywki, nakręca je i ustawia obok siebie na ladzie. Gdy melodia wybrzmi, zdejmuje kapelusz, wrzuca do niego baletnice, potrząsa kapeluszem, a następnie – zamiast spodziewanych baletnic – wyjmuje zeń trzech ołowianych żołnierzy. Zdmuchuje z nich kurz i odkłada na półkę w miejsce tancerek. Z innej półki zdejmuje kalejdoskop. Przykłada go do oka jak lunetę i – obracając nim – „wpatruje się” w widownię. W tym momencie rozlega się sklepowy gong. Do sklepiku wchodzi starszy jegomość z neseserem. Ma na sobie elegancki zimowy płaszcz z futrzanym kołnierzem.

PODRÓŻNY

Dzień dobry szanownemu panu. Czy można się tu u pana na chwilę zatrzymać? Wszędzie tak zimno. Pan już pewnie wie? To niesłychane! Mamy początek lat trzydziestych dwudziestego wieku, a wciąż zdarzają się takie rzeczy! Czy słyszał pan może, ile jest opóźniony pociąg do Lyonu? Dwie godziny. Całe dwie godziny. Zasy, powiadają. Chłuba naszego państwa, francuska kolej żelazna nie potrafi poradzić sobie z kilkoma górkami śnieżnego puchu! A dworzec? No, to już jest prawdziwy skandal! To ma być największy i najbardziej nowoczesny dworzec w Paryżu? To, to jest jakiś... biegun północny. Poczekalnia zamknięta – podobno z zimna pękły rury. Kawiarnia i restauracja nieczynne z powodu mrozu. Sklepiki pozamykane, bo w Wigilię nikomu nie chce się

pracować. I co ma w tej sytuacji robić pasażer, którego pociąg spóźnia się dwie godziny? Tylko u pana świeciło się światło.

SPRZEDAWCA

Ja przywykłem do chłodu. W moim sklepiu jest zawsze zimno. Nie rozstaję się z płaszczem i kapeluszem.

Jakby nigdy nic zakłada z powrotem kapelusz.

Tylko w tym małym piecyku trochę węgla się żarzy.

PODRÓŻNY

To czemu pan tu jeszcze siedzi?

SPRZEDAWCA

Dzisiaj będę pracował do północy. Zawsze może pojawić się jakiś spóźniony podróżny, który zapomniał kupić pod choinkę pajacyka albo lalki z porcelany. Dzisiaj Wigilia.

PODRÓŻNY

A, to pan sprzedaje zabawki. Nie zdążyłem się rozejrzeć. No tak. Mam troje wnucząt, ale kupowanie prezentów zawsze pozostawiam mojej córce. Właściwie to mógłbym im w tym roku zrobić niespodziankę. Tylko nie bardzo wiem, co im sprezentować. Może pan mi coś doradzi?

SPRZEDAWCA

Tak, tak, chętnie. O, na przykład coś z tej półki. Mam zupełnie nowy zestaw ołowianych żołnierzy.

Zdejmuje z półki trzy żołnierzyki, które niedawno tam umieścił.

W bardzo korzystnej cenie.

PODRÓŻNY

Cena nie gra roli. Dla kogoś, kto kupił dziś fabrykę, pudełko zabawek nie jest dużym wydatkiem. Żołnierzyków mają zresztą dosyć. Starczyłoby na obsadzenie całej Linii Maginota. A to obok, tam wystaje taka jakby drewniana rączka. Czy to wózek dla lalek?

SPRZEDAWCA

Nie, to mała gilotynka dla lalek

Wyciąga ją i demonstruje.

Taką samą bawili się dorośli w czasach naszej sławetnej rewolucji. Żadne wykwintne przyjęcie nie mogło się bez niej obejść. Proszę spojrzeć. Tu wsadza się laleczkę. Pociąga się za sznurek. Ostrze spada, główka odskakuje... i rozchodzi się miła woń.

PODRÓŻNY

Miła woń?! Do diaska!

SPRZEDAWCA

Laleczka to w rzeczywistości flakonik. Mam ich sporo. Każda lalka o innym zapachu: fiołka, mimozy, bratków. Taką gilotynkę sprezentował swojej córeczce sam wielki Goethe.

PODRÓŻNY

Niemcy mieli zawsze chorą wyobraźnię. Niech pan popatrzy na ich filmy: *Nosferatu*, *Doktor Caligari*. Potworność.

SPRZEDAWCA

Ta gilotynka nie jest wcale potworna. Główkę można na nowo przykręcić. Ale jeśli życzy pan sobie czegoś innego...

Odkłada gilotynkę na półkę.

Mam coś doskonałego dla chłopców tym razem. Model rakiety międzyplanetarnej. Można nią polecieć wprost na Księżyc.

PODRÓŻNY

Jaka jest zasada jej działania?

SPRZEDAWCA

Uruchamiamy wyobraźnię i... lecimy.

PODRÓŻNY

To niezbyt konkretne.

SPRZEDAWCA

Jeśli pan sobie życzy, mogę dołączyć odręczną mapę Księżyca. Z kratekami, morzami *et cetera*. Mógłbym narysować ją panu na poczekaniu.

PODRÓŻNY

Jest pan selenografem?

SPRZEDAWCA

Selenografem? Nie, nie, nigdy nie byłem uczonym. Po prostu wymyśliłem księżyc. I mapę tego właśnie, zmyślnego księżyca mógłbym panu zaoferować.

PODRÓŻNY

Chce mi pan sprzedać fałszywą mapę Księżyca?

SPRZEDAWCA

Może jest prawdziwsza niż inne? Kto widział kiedyś Księżyc za pomocą wielkiego teleskopu? Garstka astronomów. A mój księżyc znają tysiące, a może nawet miliony ludzi na całym świecie.

PODRÓŻNY

Pana księżyc?

SPRZEDAWCA

Tak, mój.

smutnieje

To znaczy znały. Bo mój księżyc jest teraz księżcem w nowiu i nikt go już być może nigdy nie zobaczy... Nawet ja sam. Ale pana pewnie moja historia nie zajmie. Poszukajmy lepiej prezentów dla wnucząt.

Odkłada raketę na bok lady.

A może zainteresowałby pana mały teatrzyk?

Wyciąga duże pudło.

Teatrzyk „Robert-Houdin”. Tutaj wszystko jest możliwe. Kobieta przemienia się w motyla, a motyl w dziecko, dziecko zaś w policjanta. Policjant goni złodzieja złotych myśli. Łapie go i odkręca mu głowę. Z głowy sypią się złote monety. Monety zmieniają się w robaczki świętojańskie i tańczą wokół zdumionego policjanta. Policjant przyjmuje postać motyla i znika ze sceny.

PODRÓŻNY

wskazując na pudło

I to wszystko tu jest?

SPRZEDAWCA

W pudle są tylko trzy ściany i kurtyna. Resztę trzeba sobie wyobrazić.

PODRÓŻNY

nieusatysfakcjonowany rozgląda się po półkach

Czy nie ma pan może czegoś bardziej... technicznego? Może coś związanego z optyką, z kinem?

SPRZEDAWCA

Z kinem? Trzeba było tak od razu mówić! Mam kalejdoskop... Ale to pana pewnie nie zainteresuje.

PODRÓŻNY

No, nie...

SPRZEDAWCA

O, tutaj mam wspaniałą latarnię magiczną. Wystarczy podłączyć ją do prądu i koń sam przeskakuje przez przeszkody. Na tym bębnie rozrysowane są wszystkie fazy ruchu...

PODRÓŻNY

Nie, dziękuję. To było dobre w dziewiętnastym wieku. Teraz dzieci już się tym nie interesują. Nie ma pan czegoś bardziej na czasie?

SPRZEDAWCA

smutnieje

Mam. Ale to tylko atrapa. Zabawka w kształcie kamery. Ma nawet ruchomą korbkę i cudownie chrzęści, całkiem jak prawdziwa. Wypisz wymaluj pierwsza kamera braci Lumière. Ale filmów nią robić się nie da. Oko kamery jest ślepe.

PODRÓŻNY

Kupię ją od pana. Jaka jest jej cena?

SPRZEDAWCA

Nie ma żadnej ceny. Ona nie jest na sprzedaż.

PODRÓŻNY

po chwili namysłu

Mam do pana pytanie. Czy kiedyś, dawno temu nie próbował pan kupić kamery i nie odmówiono panu w ten sam sposób, bo tamta kamera też nie była na sprzedaż?

SPRZEDAWCA

Tak. Tak było. Skąd pan o tym wie?

PODRÓŻNY

To ja odmówiłem panu mojej kamery.

SPRZEDAWCA

Ludwik Lumière?

PODRÓŻNY

We własnej osobie, panie Méliès.

Padają sobie w objęcia.

MÉLIÈS

Cóż za niezwykle spotkanie! Po ponad trzydziestu latach! Jak mnie pan rozpoznał w dworcowym sprzedawcy?

LUMIÈRE

Nabrałem pewnych podejrzeń, gdy zaproponował mi pan przejażdżkę na księżyc. Pana księżyc. Księżyc, który znają miliony. Szaleniectwo – pomyślałem – albo... A potem nazwa teatrzyku wydała mi się dziwnie znajoma: „Robert-Houdin”. On już chyba nie istnieje, nie mylę się?

MÉLIÈS

Nie ma go. Od dawna.

LUMIÈRE

A wytwórnia „Star Film”? Słyszałem, że upadła w dwudziestym trzecim. Czy coś może po niej zostało?

MÉLIÈS

Nic.

LUMIÈRE

No, ale zostały filmy. Podobno nakręcił ich pan ponad pięćset? I prawie w każdym zachowała się pańska twarz. Zresztą ta twarz niewiele się zmieniała. Łatwo przyszło mi ją rozpoznać mimo tak niecodziennej sytuacji. Ale, gdy obejrzy się pięćset filmów, bo powiem panu w tajemnicy, że jako konkurent w branży oglądałem je wszystkie na bieżąco...

MÉLIÈS

Nic z nich nie zostało. Nie ma nic poza tym dworcowym sklepikiem z tandetnymi zabawkami.

LUMIÈRE

Ogromnie mi przykro. Nie wiedziałem, że znalazł się pan w takim położeniu. To wielka, dziejowa niesprawiedliwość!

MÉLIÈS

Nie, to tylko kolej rzeczy. Nie skarżę się na mój los. Te zabawki też mogą sprawić komuś radość. Moje życie ma sens.

LUMIÈRE

Jak do tego doszło?

MÉLIÈS

To długa i nużąca opowieść.

LUMIÈRE

Mam czas. Pociąg odjeżdża dopiero za półtorej godziny.

MÉLIÈS

Dobrze więc, usiądźmy.

Z przepaszającą miną podsuwa mu dziecięcy zydelek. Sam przysiadła bokiem na solidnym, drewnianym koniu na biegunach i zaczyna się lekko bujać.

Wszystko zaczęło się 28 grudnia 1895 roku. Albo może dużo wcześniej. W pewien sierpniowy wieczór, kiedy obwieściłem ojcu, że za żadne skarby świata nie chcę zostać szewcem.

LUMIÈRE

Szewcem? A cóż to za pomysł?

MÉLIÈS

W naszej rodzinie całkiem oczywisty, by nie powiedzieć: jedyny. Mój ojciec był szewcem, i to nie byle jakim.

Wstaje, podciąga nogawki, ukazując swoje odświeżone lakierki, i – nie przestając mówić – prezentuje kilka tanecznych pas.

Szył buty dla całej elity Drugiego Cesarstwa. Wszystkie damy dworu Napoleona III tańczyły w pantofelkach jego produkcji, a generałowie Cesarstwa prosili je do tańca, strzelając jego obcasami. „Buty to podstawa. Podstawa całego państwa” – powtarzał ojciec. Uznał więc, że postradałem zmysły. Zwłaszcza że każdą wolną chwilę spędzałem w paryskich teatrzykach, podpatrując sztuki magiczne. Sam też próbowałem. Króliki, gołębie, chustki, talie kart... Ale to nie było to. Chciałem czegoś więcej. Chciałem wyczarować swoje sny. A sny – jak każdy młody człowiek – miałem piękne, kolorowe. Śniły mi się kobiety – niezwykle, uskrzydłone. Dziwne bajeczne stwory i podróże – też nie zwyczajne. Wszystko jak z obrazów dzisiejszych surrealistów. Ale tylko ja mogłem je podziwiać. Bo jak zaprosić widzów do własnego snu? No właśnie, jak?

LUMIÈRE

Nie wiem, ja śpię twardo jak kamień, bez snów.

MÉLIÈS

Szkoda. A ja od dziesiątków lat prawie wcale nie śpię. Najpierw nadmiar pracy, teraz starość. Moje ciało nie potrzebuje snu, ale dusza tak. Dlatego muszę śnić na jawie. Wtedy jednak, gdy byłem bez troski i młody, sen

przychodził lekko. Wystarczyło zamknąć powieki, a pod powiekami przesuwaly się fantastyczne filmy. To znaczy – nie filmy, bo wtedy jeszcze nie istniało kino. Więc może raczej przedstawienia, feerie. Był taki teatr, do którego chodziłem najczęściej. Pełen iluzji i niezwykłości. Teatr największego z magików – Jeana Roberta-Houdina. I zakochałem się. Zakochałem się miłością aż po grób. Fortuna była dla mnie łaskawa. Kiedy miałem dwadzieścia siedem lat, ojciec postanowił podzielić swój majątek pomiędzy trzech synów. Jak w bajce. Każdy z nas miał wziąć los we własne ręce. Ja nie wahałem się ani chwili. Wszystkie swoje pieniądze zanieśliem wdowie po właścicielu bulwarowego teatru iluzji Jeanie Robercie-Houdinie.

LUMIÈRE

Oświadczył jej się pan?

MÉLIÈS

Nie, skądże. Byłem już żonaty. Oświadczyłem się sztuce. Odkupiłem teatr.

Zdejmuje z półki pudło z ukrytym w środku teatrzykiem.

Teatr „Robert-Houdin”.

Potrząsa pudłem.

Byłem najszcześliwszym człowiekiem na świecie. Mogłem wreszcie dzielić się z ludźmi moimi snami. Od razu rzuciłem się w wir pracy. Pisałem scenariusze, reżyserowałem, byłem swoim głównym aktorem, projektowałem dekoracje, budowałem maszyny, wymyślałem magiczne sztuczki... Pracowałem od rana do nocy, dając po dwa przedstawienia dziennie. Prawie nie opuszczałem teatru. Przestałem spać, aby śnić mogli inni.

LUMIÈRE

Pański teatr stał się dość głośny. Ja tam co prawda nie zaglądałem, ale nasz ojciec bywał często.

MÉLIÈS

Był też wtedy, w ten grudniowy dzień 1895 roku. Wręczył mi zaproszenie na wieczorny pokaz kinematografu braci Lumière. Pokaz miał się odbyć w Salonie Indyjskim w Grand Café, przy bulwarze Kapucynów. To teraz adres z podręczników historii kina, ale wtedy mało kto znał ten lokal. Na szczęście znajdował się blisko mojego teatru, więc mogłem wyskoczyć w przerwie między dwoma przedstawieniami. Ale gdyby zaczynał się godzinę później... może inaczej potoczyłoby się moje życie. Przyjąłem więc zaproszenie. Pamiętam, jak pański ojciec uśmiechnął się filuternie i powiedział: „Tym razem ja pana czymś zadziwię, panie Méliès”.

LUMIÈRE

I udało się mu?

MÉLIÈS

Z początku nie. Salon Indyjski okazał się podziemną duszną salką. I publiczność nie dopisała, jak pan zapewne pamięta.

Ustawia na ladzie pajacyki w charakterze widzów.

Paru dziennikarzy i dyrektorów paryskich teatrów. Wszyscy nastawieni sceptycznie do nowego wynalazku. Tyle było wtedy różnych odmian latarni magicznej: stroboskop, bioskop, praksinoskop, kinetoskop i Bóg wie, jaki jeszcze „-skop”.

Ustawia drewnianą kamerę.

W czym kinematograf braci Lumière miałby być od nich lepszy? Na ekranie pokazał się najpierw kwadrat światła, a po nim martwy obrazek. Fotografia z projektora.

Mówi, manipulując dwoma pajacykami:

„Ależ ja takie projekcje robię w swoim teatrze od pięciu lat” – powiedziałem do dyrektora Folies Bergère.

Porzuca swoje zabawki i wychodzi na środek sceny.

I nagle... Wszystko się poruszyło! Ludzie, liście na drzewach i ogromna lokomotywa, która z impetem wjechała na salę. Nigdy nie zapomnę tej chwili, najważniejszej chwili w moim życiu. Ja, mag, bulwarowy czarodziej, zostałem zaczarowany przez pana małą skrzynkę! Tak jakby wyleciał z niej świetlisty dżin, który spełnić miał wszystkie ludzkie marzenia...

LUMIÈRE

Ach, nie przesadzajmy. Udało mi się tylko utrwalić ruch.

MÉLIÈS

Ruch to życie. Tchnął pan w martwą fotografię życie. Więcej, dał pan rzeczom i ludziom nieśmiertelność. „Śmierć przestała być absolutna” – tak pisały gazety po pana pierwszym seansie.

LUMIÈRE

Sam pan wie, tytuły w gazetach muszą być krzykliwe.

MÉLIÈS

Nie, to nie był pusty frazes, przysięgam. Dzięki panu moja zmarła żona jeszcze długo uśmiechała się i machała do mnie ręką z białego prostokąta ekranu. My obaj też będziemy jeszcze żyć za sto, a może dwieście lat, dopóki znajdzie się ktoś, komu będzie się chciało pokręcić korbką projektora, by zobaczyć dwóch niemodnych panów w kapeluszach. A dawno już oddana na złom lokomotywa wciąż będzie punktualnie przyjeżdżać na małą stacyjkę w prowansalskim miasteczku La Ciotat. Tak jak tamtego wieczoru w dusznej salce przy bulwarze Kapucynów.

GŁOS Z MEGAFONU

Pociąg z Paryża do Lyonu planowo odjeżdżający o godzinie dwunastej zero zero jest opóźniony o sto dwadzieścia minut. Dyrekcja Towarzystwa Kolei Żelaznych gorąco przeprasza za opóźnienie spowodowane niespodziewanym atakiem zimy.

LUMIÈRE

Sam pan słyszy. W La Ciotat pociągi nigdy się nie spóźniały. Jeździliśmy tam co roku na wakacje, kiedy jeszcze dzieci były małe. Tuż za miasteczkiem mieliśmy posiadłość z pięknym widokiem na Morze Śródziemne. Tam nakręciłem większość moich wczesnych filmów. Sfilmowałem naszą bonę czekającą na stacji i śniadanie dziecka Augusta...

MÉLIÈS

Ładny chłopczyk.

LUMIÈRE

To była dziewczynka.

MÉLIÈS

Ha, dzisiaj pewnie sama ma już duże dzieci.

LUMIÈRE

Nie, nie zostawiła dzieci. Moja bratanica zmarła młodo. W 1918. Na hiszpankę, jak tysiące innych. Ale wtedy tak się uśliniła... Pamiętam, że zabrudziła Augustowi nowe tabaczkowe spodnie. Zły był, ale ja miałem film! Słynny film. Dziś piszą o nim w podręcznikach. A ja oglądam te filmy z wnukami jak zdjęcia z rodzinnego albumu. Wie pan, co mi teraz przyszło do głowy? Że historia kina to też trochę prywatna historia naszej rodziny. I moja, i Augusta, i ojca, i naszych służących. I nawet naszego oblanego ogrodnika. Kronika naszych najszcześniejszych chwil. Właśnie tam, w La Ciotat. Tak dawno tam nie byłem. Może i tam teraz pociągi się spóźniają... Ale o czym to mówiliśmy? Ach, o kinie. Nieśmiertelność, zwycięstwo nad śmiercią...

Bierze do ręki kalejdoskop.

Nie, przypisuje mi pan zbyt wiele. Ja tylko zastosowałem proste prawa optyki.

MÉLIÈS

Dla pana były to prawa optyki, a dla mnie było to objawienie, cud. Ale przecież już w samym pana nazwisku tkwiła zapowiedź cudu. Lumière, czyli światło. Ten, który za pomocą światła stwarza na nowo świat. Pan był największym czarnoksiężnikiem w dziejach. Z czegoś w końcu słynęli nadworni czarnoksiężnicy? Z tego, że pokazali królowi cień Achillesa albo Cezara? Pan mógł wskrzeszać, kogo chciał, pan mógł wszystko! Od razu zrozumiałem, że pana cudowna skrzynka może spełnić każde ludzkie marzenie. Że dzięki niej będę mógł zdobyć Księżyc, biegun i głębiny oceanu. Byłem gotów zapłacić każdą cenę. Ale pan nie chciał mi jej sprzedać.

LUMIÈRE

Pamięta pan, co panu wtedy powiedział mój ojciec?

MÉLIÈS

Tak, każde słowo.

Bierze do ręki pajacyka.

„Jeszcze nam pan za to podziękuje, młody człowieku. Nasz wynalazek nie jest na sprzedaż. A dla pana byłaby to ruina. Może być eksploatowany zaledwie przez krótki czas jako ciekawostka naukowa, ale w przyszłości nie da się na nim dorobić”.

LUMIÈRE

Rozgląda się po sklepiu.

I cóż, czyż nie miał racji? Ale pan nie posłuchał naszych życzliwych ostrzeżeń i – z tego co wiem – już wkrótce miał pan własną kamerę.

MÉLIÈS

Pojechałem po nią specjalnie do Anglii. To był prototyp oparty na wynalazku Edisona. Bardzo marnej jakości, podobnie jak załączone do niej filmiki. Jednak dzięki niemu szybko zrozumiałem zasadę działania

kinematografu i sam udoskonaliłem swoją kamerę. No i oczywiście zacząłem kręcić. Moje pierwsze filmy to były właściwie kopie, żeby nie powiedzieć: plagiaty filmów braci Lumière. Jak choćby *Partia kart*, w której po raz pierwszy zagrałem główną rolę.

LUMIÈRE

Mówili mi znajomi, że pan zawsze wzbraniał się przed grą w karty. Czy to prawda?

MÉLIÈS

Byłem przecież prestidigitatorem. Jeśli już grałem, to oszukiwałem. To było silniejsze ode mnie. Więc wołałem nie grać wcale. Tak było uczciwiej. Ten filmik też oparty był na oszustwie, nawet podwójnym. Bo tak się zapatrzyłem w obiektyw, że w końcu zapomniałem wyciągnąć asa z rękawa i sromotnie przegrałem. A w filmie, zgodnie ze scenariuszem, sprawiam wrażenie zwycięzcy. Ot, cud kinematografii. Ale prawdziwy wydarzył się niedługo potem. Filmowałem ruch uliczny na placu przed Operą Paryską. W pewnym momencie zacięła się kamera. Kręciłem korbką i nic. Szamotałem się, szamotałem, aż wreszcie udało mi się odblokować mechanizm. Wieczorem obejrzałem film. Czy wie pan, co się stało?

LUMIÈRE

Domyślam się. Nic do siebie nie pasowało. Mnie też czasem zacięła się kamera.

MÉLIÈS

Ależ nie! Stał się cud. Idący ulicą mężczyzna zamienił się w kobietę, a omnibus – w karawan!

LUMIÈRE

A, to w ten sposób wpadł pan na pomysł swoich słynnych transformacji. A ja tylko kłamię pod nosem, że marnuje mi się klisza.

MÉLIÈS

Pan kłął? To przecież pana ojciec produkował klisze. Na wyłączny użytek braci Lumière. Nigdzie nie można ich było dostać. Moja kamera leżała bezużyteczna. Któregoś dnia dowiedziałem się, że ktoś chce sprzedać czyste klisze w Anglii. Gdy tam przybyłem, okazało się, że chodzi o wiele skrzyń. Mogłem kupić wszystko albo nic. Bez zaglądania do środka. Zgodziłem się, niewiele myśląc. Gdy tylko dotarłem do Paryża, natychmiast zajrzałem do pierwszej z nich. Klisza okazała się nieperforowana, absolutnie bezużyteczna.

LUMIÈRE

My mieliśmy specjalne maszyny do perforacji. Ale rzeczywiście nie udostępnialiśmy ich nikomu. Co pan wtedy zrobił?

MÉLIÈS

Znalazłem w gazecie adres specjalisty, mistrza od dziurek i otworów – tak się reklamował. Zaprosiłem go wraz z żoną na specjalny pokaz filmowy, posadziłem w pierwszym rzędzie. Zgodziłem się na każde pieniądze i dowolnie odległy termin. I co? Po miesiącu przyniósł mi swój wynalazek: zwykły ręczny dziurkacz. Przy użyciu tego cudu techniki perforacja jednego filmu zajęłaby mi chyba dziesięć lat, i to pod warunkiem, że nie oszalałbym przy wycinaniu milionowej dziurki. Na szczęście ktoś inny skonstruował potrzebną mi maszynę. Mogłem otworzyć studio produkcji „Star Film”. Ale szacunek dla kliszy pozostał mi na zawsze. Słyszał pan o mojej brygadzie kobiecej? Tej, która kolorowała moje filmy? Nawet mikronowej wielkości detale malowane były pędzelkiem osobno na każdej z klatek.

LUMIÈRE

Nikt inny tego nie robił. Tylko pan.

MÉLIÈS

A komu innemu by się chciało? To było bardzo czasochłonne i kosztowne. Ale za to tylko moje filmy miały tak piękne, świetliste barwy.

LUMIÈRE

Czuć było w nich kobiecą rękę.

MÉLIÈS

O tak, tylko kobiety potrafią tak się poświęcić dla piękna. Pracowały dniami i nocami, bo wiedziały, jak ważna jest dla mnie każda klatka. Nad każdą pochylały się więc, jakby to był obraz Rafaela, któremu trzeba przywrócić jego prawdziwe barwy.

LUMIÈRE

No tak, ale powiedzmy sobie szczerze: ile kopii mogły w ten sposób pomalować? Pięć? Dziesięć? Może dwadzieścia? Światowy rynek potrzebował setek kopii, tysięcy. To, co pan robił, nie miało sensu. Kolorowy film trzeba było wynaleźć, a nie malować pędzelkiem.

MÉLIÈS

Nie umiałem tego, to pan był wielkim wynalazcą. Ja byłem tylko magikiem z małym pędzelkiem. Ale skoro już miałem ten mały pędzelek, to czy wolno mi było czekać na wynalazek barwnej kliszy? Dzięki mojemu pędzelkowi świat był piękniejszy przynajmniej o te kilka klatek, o tę jedną rolkę filmu!

LUMIÈRE

A co z pozostałymi?

MÉLIÈS

Oczywiście, zdawałem sobie sprawę, że większość kopii na zawsze pozostanie czarno-biała. Ale i na to znalazłem sposób. Zamiast kolorów zastosowałem walory. Wszystkie dekoracje i rekwizyty wycinałem sam z kartonów w różnych odcieniach bieli, szarości i czerni.

LUMIÈRE

No dobrze, a na przykład krzesła i drzwi? Przecież one miały swoje własne barwy: dębu, palisandru...

MÉLIÈS

Krzesła i drzwi też wycinałem z kartonu. W moich filmach nic nie jest prawdziwe. Nawet krzesła i drzwi. Nawet ja. Wszystko jest wymyślone.

LUMIÈRE

Nawet Księżyc? Chciał mi pan sprzedać jego zmyśloną mapę.

MÉLIÈS

Tak, zwłaszcza Księżyc.

Bierze do ręki kalejdoskop i przykłada go do oka.

Oglądał pan kiedyś Księżyc przez teleskop?

LUMIÈRE

Tak, zdarzyło mi się. W obserwatorium koło Marsylii.

MÉLIÈS

A ja nigdy. Za to wiele razy śniłem, że to Księżyc mnie się przygląda. Może ciekawiły go moje magiczne sztuczki, a może czegoś ode mnie chciał? W 1902 roku w swoim atelier w Montreuil zbudowałem największą armatę świata i wystrzeliłem z niej pojazd kosmiczny. To była pierwsza ekspedycja badawcza w dziejach Ziemi i Księżyca.

LUMIÈRE

Ekspedycja badawcza? A, mówi pan o swoim filmie!

MÉLIÈS

Jako badaczy wysłałem na Księżyc moich najlepszych aktorów. Czegóż oni tam nie przeżyli! Wybuch wulkanu, burzę śnieżną, wędrówkę w głąb krateru, a na koniec spotkanie z zastępami wojowniczych Selenitów. Jednego Selenitę udało im się nawet sprowadzić jako jeńca na Ziemię. Ale przedtem musieli z nimi stoczyć prawdziwie homerycki bój. A potem wysłałem tych samych, wypróbowanych aktorów na biegun północny, na spotkanie Śnieżnego Olbrzyma...

LUMIÈRE

I nie miał pan wyrzutów sumienia?

MÉLIÈS

Dlaczego? Przecież nic im nie groziło. Dekoracje i zabezpieczenia były perfekcyjnie wykonane.

LUMIÈRE

Nie pytam o aktorów, pytam o publiczność. Czy nie miał pan wyrzutów sumienia, oszukując ludzi? Często niewykształconych, łatwowiernych. Tę całą, jak ją zwano, publiczność jarmarczną. Przedstawiał jej pan zmyślony, nieprawdziwy świat. A mój wynalazek miał przecież odwzorowywać, dokumentować rzeczywistość. Pokazywać świat takim, jakim jest. Kiedy chciałem sfilmować dwór cara, wysyłałem swoich kamerzystów na drugi kraniec Europy. A pan? Koronację króla Edwarda nakręcił pan we własnym atelier! I to na kilka tygodni przed samym wydarzeniem.

MÉLIÈS

Zebrałem bardzo dokładną dokumentację. Wszystko wyglądało identycznie jak w opactwie westminsterskim.

LUMIÈRE

Identycznie? Pan raczy żartować! Na króla Anglii koronował pan chłopaka z pralni!

MÉLIÈS

Na tym właśnie polega cudowność kina. Każdy może zostać królem. Każdy może zdobyć biegun północny. I pokonać na nim Śnieżnego Olbrzyma.

LUMIÈRE

Nie to miałem na myśli, gdy wynajdywałem kinematograf. To miało być narzędzie badawcze w służbie prawdy. Miało oddawać życie. Życie uchwycone na gorąco. Dlatego rozpocząłem próby nad kinem trójwymiarowym. Świat w skali jeden do jeden – to moje marzenie.

MÉLIÈS

Pamięta pan, kto wystąpił w pana filmie *Gra w karty*?

LUMIÈRE

No jasne – mój ojciec razem ze swymi przyjaciółmi od brydża.

MÉLIÈS

I ktoś jeszcze.

LUMIÈRE

Ktoś jeszcze? A, ma pan może na myśli tego kelnera, który roznosił piwo?

MÉLIÈS

Tak, właśnie jego. Pamięta pan, jak się zachowywał?

LUMIÈRE

Normalnie. Przyniósł piwo, a potem zajrzał w karty ojca.

MÉLIÈS

A potem?

LUMIÈRE

A potem zaczął się głośno śmiać i uderzać rękami o uda. Rzeczywiście, w jego zachowaniu było coś nienaturalnego.

MÉLIÈS

Tak, właśnie: nienaturalnego. Ale dzięki temu obaj go zapamiętaliśmy. On w genialny sposób wyczuł, do czego służyć może kamera. Zrozumiał, że oto ma swoje pięć minut, no, może pięć sekund, zważywszy na długość pierwszych filmów. Pojął, że może na ten moment zaistnieć, zostać zauważony przez innych ludzi. On był pierwszym prawdziwym aktorem w historii kina. Zagrał samego siebie. Nie, panie Lumière, kino nigdy nie odda prawdziwego życia. Kamera nie jest niewinną skrzynką postawioną gdzieś w rogu, nie jest jeszcze jednym meblem w naszym

salonie. Nie da się obok niej przejść obojętnie. Jako pierwsze i ostatnie mogły to zrobić robotnice z pana fabryki, które nie wiedziały, do czego służy to nowe drewniane pudełko. Ale my już wiemy i zawsze będziemy wobec niego grać.

LUMIÈRE

Pan przesadza, to tylko kwestia oswojenia z kamerą.

MÉLIÈS

Wyobraźmy sobie taką absurdalną i niemożliwą w realnym świecie sytuację. Oto dziesięciu ochotników zostaje zamkniętych na sto dni w specjalnym kontenerze.

Ustawia swoje pajacyki. Kieruje na nie obiektyw drewnianej kamery.

Każdy ich krok, każde słowo i gest śledzi kamera. Obserwuje ich, kiedy śpią, jedzą, a nawet – o zgrozo! – kąpią się i myją zęby. Czy myśli pan, że oni przez te sto dni, śpiąc, jedząc i myjąc zęby, będą sobą? Nie, oni tylko będą odgrywać siebie. Świadomi czujnego oka kamery i tych wszystkich oczu, które ich dzięki niej zobaczą. Nie będą po prostu żyć. Będą starali się sprostać własnym wyobrażeniom na temat tego, jak życie wyglądać powinno. To będzie tylko iluzja życia. Prawdziwego nie sposób uchwycić. Ale na szczęście nikt nigdy nie wpadnie na równie niedorzeczny pomysł. Bo czyż znaleźliby się widzowie na tak nudny spektakl, jakim jest zwykłe życie?

Odwraca kamerę.

LUMIÈRE

A szkoda. To mógłby być bardzo ciekawy eksperyment. Tylko kto zgodziłby się z własnej woli na tak długie pozbawienie wolności? Chyba żeby posłużyć się więźniami, którzy i tak już nie mają nic do stracenia...

MÉLIÈS

Ale po co? Wciąż słyszę, że sztuka powinna odzwierciedlać życie. A ja pytam: po co? Czy nie dość mamy tego życia wokół nas? Czy nie wystarczająco nas ono przytłacza? Rani, męczy, nudzi, upokarza... Jeśli sztuka ma być taka jak życie, to gdzie się przed nim schronimy? Sztuka jest przecież jedyną bezpieczną drogą ucieczki przed światem. Ucieczki w świat lepszy i piękniejszy. Jeśli i tę drogę stracimy...

LUMIÈRE

Pan mówi o sztuce. A ja jestem tylko wynalazcą. Człowiekiem nauki. A nauka musi stać na straży prawdy. Zawsze miałem do pana pewien żal. Bo pan jako pierwszy użył mojej kamery do tworzenia sztuki filmowej, jak to się teraz mówi. Za pomocą mojej kamery pan snuł swoje piękne wizje – to znaczy kłamał. Kłamał wobec niewykształconej jarmarcznej publiczności, która mogła wziąć pana zmyślenie za prawdę.

MÉLIÈS

I uciekać przed nim, jak uciekano przed pańską rozpędzoną lokomotywą? Nie, ludzie szybko pojęli, do czego służy kino. Że to kraina marzeń i snów. I ja właśnie pozwalałem im marzyć i śnić. Tylko dzięki mnie i razem ze mną ta niewykształcona jarmarczna publiczność, jak ją pan nazywa, mogła wyprawić się na Księżyc, na biegun i w dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi. Mogła wachlować się wachlarzem złożonym z pięknych dam i pływać na gigantycznych langustach. Przerażać się widokiem gadającej obciętej głowy i międzygwiazdnej karocy zaprzężonej w szkielet rumaka. I tańczyć na balu wśród tańczących zegarów, które przypominały Kopciuszkowi, że na niego już czas.

GŁOS Z MEGAFONU

Pociąg z Paryża do Lyonu planowo odjeżdżający o godzinie dwunastej zero zero jest opóźniony o sto dwadzieścia minut. Dyrekcja Towarzystwa Kolei Żelaznych gorąco przeprasza za opóźnienie spowodowane niespodziewanym atakiem zimy.

MÉLIÈS

Przepraszam, rozgadałem się. Miałem przecież opowiadać nie o moich filmowych podróżach, ale o tym, jak znalazłem się na tym oto dworcu. No cóż, po moim największym wzlocie, którym była *Podróż na Księżyc*, sprzedaż filmów stopniowo zaczynała maleć. Kino pogrążało się w kryzysie. Przetrwać mogli tylko najwięksi i bezwzględni – jak Pathé. Kiedy upadli moi najwierniejsi jarmarczni dystrybutorzy, nie miałem wyjścia, musiałem mu zaufać. Podpisałem z nim umowę. Pathé dawał mi środki na produkcję i zapewniał dystrybucję filmów. Zabezpieczeniem miało być moje studio, moje laboratorium, mój dom – wszystko, co posiadałem. Jednym słowem, sprzedawałem mu duszę. Ale on tak naprawdę wcale jej nie potrzebował. Miał innych zdolnych reżyserów, którzy podbili serca publiczności.

LUMIÈRE

Cóż pan opowiada! Cały zespół Pathého składał się głównie z miernot i plagiatorów. A pan to historia kina.

MÉLIÈS

Tak, ma pan rację. Byłem już wtedy historią kina, a oni jego dniem dzisiejszym. Zaczynało to do mnie powoli docierać. Pathé kazał mi produkować trzysta metrów taśmy tygodniowo.

LUMIÈRE

To dużo.

MÉLIÈS

To zdecydowanie za dużo dla kogoś, dla kogo każda pojedyncza klatka musi być dziełem sztuki. Pracowałem dniem i nocą. Niepotrzebnie. Na premierze pierwszego filmu okazało się, że Pathé powycinał bez mojej wiedzy jedną trzecią scen. A pozostałe posklejał całkiem dowolnie. Film okazał się klapą. Z następnym było jeszcze gorzej. Zmieniła się publiczność. Na ekranach królowały westerny, melodramaty, historyczne freski. Nikt już nie potrzebował moich czarnoksięskich sztuczek. Nawet dzieci z pobłażaniem patrzyły na mojego *Kopciuszka*.

LUMIÈRE

A co z umową?

MÉLIÈS

Zerwałem z Pathém. A wtedy on wyciągnął z kieszeni nakaz sądowy. Był teraz panem mojego studia, laboratorium, domu, ogrodu, wszystkiego.

Zagarnia ramionami leżące na ladzie zabawki.

Los nie miał nade mną litości. W tym samym czasie zmarła moja żona, Eugenia. Trzynastego maja trzynastego roku. Z natury była przesądna, ale to o mnie zawsze się bała. Spędziliśmy razem trzydzieści lat. Moich najszczęśliwszych lat. Nie jest łatwo mnie złamać, ale wtedy... Nie wiem, co mnie utrzymało przy życiu. Może te filmy, na których machała do mnie ręką? Puszczając je setki razy... Puszczając, póki jeszcze miałem na czym. Na szczęście nadciągnęła wojna.

LUMIÈRE

Na szczęście?

MÉLIÈS

Tak, nie przesłyszał się pan. Powiedziałem: na szczęście. Pan uwierzy, że ja, żarliwy pacyfista, cieszyłem się z nadejścia wojny? Bo wojna oznaczała moratorium dla dłużników. Dopóki trwało, Pathé nie mógł zająć mojego studia. Urządzałem w nim bezpłatne seanse filmowe dla rannych żołnierzy.

Ustawia na nowo przewrócone pajacyki.

Puszczając im moje stare filmy. Ich uśmiech był dla mnie jedyną zapłatą. W końcu w pewnym sensie byłem teraz ich dłużnikiem.

LUMIÈRE

Ale moratorium zaraz po wojnie odwołano.

MÉLIÈS

Tak, walczyłem jeszcze jakiś czas w sądach, aż nadszedł rok 1923. Najpierw zburzono mój teatr. Poszerzano bulwary wokół Opery Paryskiej i architektom zawadzał teatr „Robert-Houdin”.

Zrzuca pudło z teatrykiem z lady.

Nie dostałem odszkodowania. Teatr był zajęty za długi. Od dawna przedstawienia świeciły pustkami.

A potem, któregoś jesiennego dnia, do mojego studia w Montreuil wkroczyli komornicy ze swymi pomocnikami o stwardniałych dłoniach. Zaczęli rąbać i palić moje stare dekoracje. Te, które tak pieczołowicie malowałem we wszystkie odcienie bieli i szarości. I kosmiczne pojazdy, i Śnieżnego Olbrzymia...

Zgarnia z lady rakietę i pajacyki. Odchodzi w róg sceny, mówi dalej odwrócony tyłem do widowni.

A potem zaczęli wyrzucać na bruk ciężkie szpule z moimi filmami. Jedna po drugiej padały bezwładnie w błoto, rozwijając nawinięte na nich filmy. To było tak, jakby przed oczami przesuwano mi się całe życie. Widziałem wszystkie cudowne podróże, które odbyłem na taśmie filmowej, wszystkie magiczne sztuczki, nad którymi tyle lat pracowałem. Teraz byłem bezsilnym magiem. Nie mogłem zrobić nic, by ocalić moje filmy. Nie stać mnie było nawet na bryczkę, żeby je gdzieś wywieźć. A zresztą dokąd? Nie miałem przecież domu, nie miałem nawet kąta, w którym mógłbym sam się podziać. I ja, i moje filmy nie byliśmy już nikomu potrzebni.

LUMIÈRE

Co się z nimi stało?

MÉLIÈS

odwraca się

Spotkałem kiedyś na dworcu zbieracza złomu. Mówił, że przed paroma laty sam wioził na swoim wózku szpule opatrzone napisem „Star Film”.

Dobrze pamiętał, bo to był dla niego interes życia. Starczyło na dziesięć flaszek i dobrą kolację. Wie pan, co się robi z celuloиду?

LUMIÈRE

Szttywne kołnierzyki?

MÉLIÈS

Z moich klisz zrobiono obcasy dla francuskiej armii. Ojciec – szewc – triumfował zza grobu.

LUMIÈRE

A ten sklepik?

MÉLIÈS

Miałem dużo szczęścia. Znalazła się dobra dusza. Była aktorka z mojego teatru „Robert-Houdin”. Ona też nie miała co ze sobą zrobić. Pobraliśmy się. Całym jej majątkiem był ten mały dworcowy sklepik z zabawkami.

LUMIÈRE

Ubożuchny ten interes. Mnie w życiu poszczęściło się znacznie lepiej. Mam całkiem spory kapitał. Może mógłbym panu jakoś pomóc?

MÉLIÈS

Teraz? Teraz jest już dawno za późno. Mój rodzinny dom w Montreuil sprzedany na licytacji, park podzielony na działki, dekoracje spalone, a studio, to wielkie przeszklone studio... Wie pan, co się z nim stało? Zrobiono z niego ogromną szklarnię. Dojrzewają w niej brzoskwinie. Okrągłe i złote. Jak Księżyc w pełni. Nie byłem w Montreuil od tamtego dnia. Nie wiem, czy wpuściliby mnie do szklarni. Może wzięliby mnie za złodzieja brzoskwiń?

LUMIÈRE

Nie odkupię pana przeszłości. Ale może mógłbym jakoś pomóc na przyszłość?

MÉLIÈS

Przyszłość? A jaką przyszłość może mieć siedemdziesięcioletni starszek? Jedyne, czego mi brak na przyszłość, to sił i młodości. Ale tego ani ja, ani nawet pan, z całą swoją fortuną, nie jest w stanie kupić.

LUMIÈRE

Hmm, jeśli nic nie mogę zrobić dla pana przyszłości i przeszłości, to może pomyślmy skromniej. Jak mógłbym panu pomóc dziś, tu i teraz?

MÉLIÈS

Bardzo dziękuję za szlachetną troskę, tylko cóż – jak by to panu powiedzieć – właściwie to niczego mi dziś do szczęścia nie brakuje. Mam gdzie mieszkać, co jeść. Raz w roku zamykam sklepik i jadę z żoną do Bretanii, nad morze. Tam przez miesiąc znów jestem wielkim panem. Maluję krajobrazy, a nocami spoglądam w niebo. A i tutaj, w Paryżu, nie jest mi źle. Mam dobrą pracę. Tu, na tym dworcu ciągle coś się dzieje. Przyjeżdżają pociągi z odległych miast. Przywożą podróżnych z różnymi rekvizytami: walizami, kłatkami, puzonami... Ludzie pojawiają się, znikają. Zupełnie jak w moim teatrze. Tylko że teraz to ja jestem widzem.

LUMIÈRE

A ten sklepik? Zimno tu i – prawdę mówiąc – dość obskurnie. Mam dla pana propozycję. Czy nie zechciałby pan pracować u mnie? Jako dyrektor któregoś z moich salonów. To poważna oferta. Proszę się zastanowić.

MÉLIÈS

Doceniam bardzo pańską propozycję. To niezwykle szlachetny gest. Tylko jaki mógłby pan mieć ze mnie pożytek? Nie umiem pomnażać zysków, sam pan wie.

LUMIÈRE

Niech pana o to głowa nie boli. Moja branża jest na razie wystarczająco dochodowa.

MÉLIÈS

Ale co ja bym w takim salonie robił? Sprzedawał papier fotograficzny i odmierzał chemiczne proszki? Nie, nie, to nie dla mnie. Wolę już moje zabawki. Za każdą dostaję nie tylko parę franków, ale i czyjś uśmiech. Tu, za tą ladą, mogę pokazywać dzieciom moje stare magiczne sztuczki.

Zdejmuje kapelusz, wyciąga z niego pajacyka.

Pan wie, jak się wtedy cieszą? I ja na moment znów jestem artystą, magiem. Czego więcej mógłbym wymagać od losu? Chociaż... Mam jeszcze jedno wielkie marzenie.

GŁOS Z MEGAFONU

Pociąg z Paryża do Lyonu planowo odjeżdżający o godzinie dwunastej zero zero jest opóźniony o sto dwadzieścia minut. Dyrekcja Towarzystwa Kolei Żelaznych gorąco przeprasza za opóźnienie spowodowane niespodziewanym atakiem zimy.

MÉLIÈS

Zostało nam jeszcze pół godziny. Ja już wszystko panu o sobie opowiedziałem. Teraz czekam na rewanż.

Przysiada na koniu na biegunach i buja się na nim wpatrzony w Lumière'a.

LUMIÈRE

Ech, coś ciekawego może być w życiu naukowca i fabrykanta.

MÉLIÈS

I ojca światowej kinematografii.

LUMIÈRE

To ojcostwo coraz bardziej mi ciąży. No cóż, moja droga była prostsza i bardziej oczywista niż pana. Mój ojciec, jak pan wie, nie był szewcem, lecz równie zamożnym i cenionym producentem materiałów fotogra-

ficznych. Obaj z bratem od dzieciństwa pasjonowaliśmy się prawami optyki. Nic dziwnego, że właśnie nam udało się skonstruować pierwszą udaną wersję kamery.

MÉLIÈS

Niech pan o tym opowie! Często wyobrażałem sobie moment jej wynalezienia. O, jak ja bardzo tego panu zazdrościłem! Co to było? Iluminacja?

LUMIÈRE

Nie, raczej efekt długich rozważań i obliczeń. Do końca tylko nie wiedziałem, w jaki sposób mógłby obracać się film. Myślałem o tym całymi dniami i nocami. Chodziłem tak zamyślony, że któregoś wieczoru potknąłem się o maszynę do szycia. To było właśnie to. I tak z maszyny do szycia narodził się kinematograf. Nie było w tym żadnej metafizyki. A potem był ten pierwszy publiczny pokaz w Grand Café. Nie udało nam się znaleźć lepszej sali. Teatry odmówiły, bały się, że to nikogo nie zainteresuje. Po tym pokazie właściciel kawiarni zacierał ręce. Zamiast procentu od zysków zażądał od nas stałej opłaty: trzydziestu franków dziennie. A tyle właśnie było osób na sali. Ale już następnego wieczoru właściciel zagryzał palce – pod Grand Café kłębiły się tłumy. I to z dnia na dzień coraz gęstsze. W końcu trzeba było oddelegować oddział policji, żeby strzegł porządku przed naszym małym kinem. Wielu ludzi, wychodząc z seansu, ustawiało się znów na końcu kilometrowej kolejki, by po raz drugi, trzeci i dziesiąty oglądać tę samą lokomotywę i te same liście poruszające się na wietrze.

Mimo tych sukcesów zdawaliśmy sobie sprawę, że ta zbiorowa fascynacja nie potrwa długo. Przemienie jak każda moda, spowszednieje jak każda nowość. Staraliśmy się więc jak najszybciej wyciągnąć jak największe zyski. Zatrudniliśmy cały zastęp operatorów, rozesłaliśmy ich po Francji, Europie i Stanach, gotowe kopie sprzedawaliśmy na cały świat. Wkrótce okazało się, że mieliśmy rację. Po dwóch, trzech latach fala zainteresowania zaczynała powoli opadać. W końcu jak długo można cieszyć się z faktu, że coś się rusza? Gdy przedsiębiorstwo przestało być rentowne, zamknęliśmy wytwórnię braci Lumière i powróciliśmy do

produkcji papieru fotograficznego. Tak skończyła się nasza przygoda z kinematografem.

MÉLIÈS

I nie było panu żal?

LUMIÈRE

Ależ skąd! Ja też byłem już właściwie nim znudzony. Wynalazcy nie bawi dłużej przedmiot, o którym wszystko wie. Zabrałem się za nowe odkrycia: zdjęcia trójwymiarowe, barwną fotografię, mikrofon z papierową membraną. W czasie wojny, podobnie jak pan, pomagałem rannym, tylko trochę inaczej, rzekłbym – bardziej przyziemnie. Skonstruowałem dla nich nową, ruchomą protezę ręki. No a poza tym żyłem spokojnie, zasobnie. Nawet dzisiaj, w Wigilię, udało mi się kupić całkiem obiecującą fabrykę. Najważniejsze to wycofać się z interesu w porę, nie przywiązywać się do upadającej branży. A tylu pionierów kina ta mała skrzynka doprowadziła do ruiny...

MÉLIÈS

Mój ojciec o swoich butach mówił z większą miłością niż pan o kinie. Czy naprawdę nie żywi pan żadnych cieplejszych uczuć wobec własnego dziecka?

LUMIÈRE

Szczerze mówiąc, staram się go unikać. Te amerykańskie wyciskacze łez, niemieckie horrory, nieprzyzwoite pocałunki i beznadziejnie głupie pościgi ciągnące się przez cały film. I teraz jeszcze ten film dźwiękowy, który tylko tupie, skrzeczy i wyje. Jak rozwrzeszczany mały dzieciak, który chce się pochwalić, że nauczył się mówić. Czasami żałuję, że wynalazłem kino.

MÉLIÈS

Czegoś tu nie rozumiem. Ja, który przez miłość do kina straciłem cały mój rodzinny majątek, nadal kocham je ponad wszystko. Pan, który dzięki niemu swój majątek pomnożył, pogardza nim.

LUMIÈRE

To chyba tak jak z kobietami. Przepraszam, że zadam to pytanie, ale czy kocha pan swoją drugą żonę?

MÉLIÈS

Szanuję ją.

LUMIÈRE

A ja swoją kocham. To znaczy: kochałem. Odeszła rok temu, tuż przed Wigilią. To dla niej gromadziłem ten majątek.

Spogląda na zegarek, aby ukryć wzruszenie.

No, jeśli opóźnienie nie wzrosło, mój pociąg powinien ruszać lada moment.

MÉLIÈS

A gdybym założył się z panem, że film może jeszcze pana czymś oczarować i zadziwić?

LUMIÈRE

A o cóż miałbym się zakładać?

MÉLIÈS

O kamerę. Zaofiarował mi pan szlachetnie swoją pomoc. A ja już niczego nie potrzebuję, o niczym już nie marzę. Poza jednym. Mam pomysł na film. Ale nie mam ani kamery, ani studia, ani środków na jego realizację. Czy zgodziłby się pan, aby ten jeden jedyny raz Ludwik Lumière został producentem ostatniego filmu Georges'a Mélièsa? Koszty będą naprawdę niewielkie.

LUMIÈRE

Cóż, nie mam nowoczesnego sprzętu. Parę dziewiętnastowiecznych jeszcze kamer. Może nawet zachowała się ta pierwsza.

MÉLIÈS

Jeśli pana przekonam, da mi ją pan tym razem?

LUMIÈRE

Zgoda. Ale niech pan na to za bardzo nie liczy. Jako ojciec mam prawo surowo oceniać swoje dziecko. Zostawię panu mój numer telefonu.

Podaje mu wizytówkę.

Proszę do mnie zadzwonić po świętach. Jakoś to zorganizujemy. Łącznie z seansem. Mam u siebie w Lyonie małą salkę projekcyjną w podziemiach domu. Pozostała mi z tamtych czasów. Trzymam w niej teraz stare, niepotrzebne filmy.

GŁOS Z MEGAFONU

Podróżnych udających się do Lyonu prosimy o przejście na właściwy peron. Dyrekcja Towarzystwa Kolei Żelaznych gorąco przeprasza za opóźnienie spowodowane niespodziewanym atakiem zimy i życzy wszystkim swoim pasażerom wesołych świąt.

LUMIÈRE

Muszę już iść.

MÉLIÈS

A prezenty dla wnucząt?

LUMIÈRE

Trudno, moja córka pewnie o coś zadbała.

MÉLIÈS

Niech pan weźmie tę kamerę.

Podaje mu drewnianą zabawkę.

LUMIÈRE

wyciąga portfel

Dobrze. Ile płacę?

MÉLIÈS

Ta kamera nie jest na sprzedaż. Pan dał ją światu, a ja ją tylko panu oddaję.

LUMIÈRE

Dziękuję, panie Méliès. Wesołych świąt!

MÉLIÈS

Wesołych świąt, panie Lumière!

Lumière pośpiesznie opuszcza sklepik. Słychać gwizd lokomotywy.

ODSŁONA II

Scena przedstawia zaciemnioną salkę projekcyjną. Pod ścianą leżą stosy metalowych puszek z filmami. Na fotelu siedzi odwrócony do nas tyłem mężczyzna w zimowym płaszczu narzuconym na ramiona. Na scenę wchodzi Lumière.

LUMIÈRE

Witam, panie Méliès. Podobno wszystko gotowe. A więc szkoda czasu, zaczynamy.

Zwraca się do kogoś za plecami widowni.

Proszę włączyć projektor.

Rozlegają się dźwięki pianina. Na ekran pada snop światła i rozpoczyna się film. Widzimy w nim postać Mélièsa na przemian z tarczą Mélièsowskiego Księżycy, który zdaje się obserwować maga. Méliès

uśmiecha się i zdejmuje kapelusz. Wyciąga z niego białą szarfę. Szarfa okazuje się coraz dłuższa i dłuższa, wydaje się nie mieć końca. Méliès owija się w nią powoli od stóp do głów, tak iż staje się ona w końcu opasującym go szczelnie kokonem. Jego poczynaniom przygląda się przez cały czas Księżyc. W pewnej chwili gotowy kokon pęka, ale zamiast starego Mélièsa wydobywa się z niego uskrzydłony młodzieniec. Młodzieniec rozprostowuje swoje białe skrzydła motyla i lekkim krokiem odchodzi w stronę Księżycy. Film się urywa.

LUMIÈRE

No cóż, hmm... Umówiliśmy się, że będę szczery. Powiem więc Panu szczerze: niczym mnie ten film nie zaskoczył. Nie było w nim nic, czego nie widziałbym po sto razy we wczesnych filmach Georges'a Mélièsa. Transformacja, ludzie motyle, uczłowieczony Księżyc. To wszystko było dobre trzydzieści lat temu. Nie ma po co do tego wracać. Przepraszam, że to powiem, ale pan się chyba wypalił. Na nic już panu moja kamera. Pozostał pan na zawsze niewolnikiem swoich czasów i swojej sztuki. Kino, żeby się sprzedawać, musi nadążać za gustami epoki. A to są jakieś filmowe wykopaliska. To tak, jak ja chciałbym dziś wzbudzać przerażenie widowni moją starą pocziwą lokomotywą z La Ciotat. Jedno tylko zrobiło na mnie pewne wrażenie: ten młody aktor był do pana uderzająco podobny. Gdzie pan go znalazł? Zresztą nieważne. Przegrał pan zakład, panie Méliès. Pana film niczym mnie nie zadziwił.

Z fotela podnosi się mężczyzna. Powolnym gestem zrzuca z ramion płaszcz i rozprostowuje swoje białe skrzydła motyla. Jest to ten sam młodzieniec, którego widzieliśmy na filmie. Spogląda na zdumionego Lumière'a, a potem lekkim krokiem odchodzi w stronę Księżycy.